

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

PZ

— A no zapewne, proszę pana — tłumaczył służący, zadowolony iż może zaspokoić ciekawość swoich gości i zaznajomić ich z oryginalnościami portu w Brest. — Więźniowie tworzą tutaj wielkie słowarzyszenie, które ma na celu ułatwianie ucieczki każdego członka. Ten, który chce się od tego usunąć, jest wykreślony z towarzystwa od tej samej chwili i nie może już liczyć nigdy na pomoc swoich towarzyszków.

— A przytem — odezwał się Lopez — znajdź mi choć jednego więźnia, któryby chętnie nie przyjął sposobności do uzyskania wolności, choćby na dzień jeden. Zresztą zdarzają się również szczęśliwe ucieczki, chociaż te są bardzo rzadkie.

— O! nie dalej jak wczoraj, proszę pana — przerwał służący — jeden więzień uciekł rzeczywiście i nie wiedzą, w jaki sposób to stać się mogło. Aż do tej chwili uchował się przed wszelkimi poszukiwaniami. Przypuszczają, że ukrywa się gdzieś w mieście, oczekując na dobrą jaką sposobność.

— I cóż to za więzień? — zapytał Lopez.
— Stary już człowiek.
— Stary recydywista zapewne?
— Och! Nie, przeciwnie.
— Świeży nabytek?
— Jest tu w więzieniu dopiero od kilku miesięcy.

— I okazał się zręczniejszym od dawnych towarzyszków? — zaśmiał się Lopez.

— Och, proszę pana, przypuszczają, że on miał jakąś pomoc z zewnątrz.

— Jakto?
— Jakiś oddany przyjaciel, albo wspólnik zbrodni — objaśniał służący.

— No, patrzcie moi kochani. I więzienna przyjaźń prawdziwa nie zamiera — zauważył Lopez. — I nie wiecie nazwiska tego więźnia?

Służący wzruszył ramionami.
— Słyszałem tylko w porcie — rzekł — że zanim się tu dostał, mieszkał w Paryżu i był bogatym bankierem. Został zasądzony na dożywotnie ciężkie roboty za popełnione morderstwo.
— Bankier de Compans! — zawołał Frank ze zdumieniem.

— Być może — odparł służący, wychodząc. Nazwisko ojca Sylwii, wymówione przez Franka, dziwnie boleśnie oddziało na wszystkich.

Kapitan Dawidson, który był świadkiem rozmowy, odczuł, że obecność jego w tej chwili może się stać kłopotliwą dla otoczenia. Ukłonił się więc i wyszedł. Sam również odczuł w głębi duszy dziwny niepokój.

Nie znał bankiera de Compans, o którym Frank wspominał, ale cała ta historia o szczęśliwej ucieczce więźnia, dokonanej przy pomocy oddanego przyjaciela, dała mu wiele do myślenia.

Jasne było, że propozycja, uczyniona mu w kawiarni matki Angot, mogła się wiązać z tą tajemniczą sprawą. Dawidson postanowił trzymać się na ostrożności i mieć baczne oko na wszystko.

Odjazd był naznaczony na dzień następny, a kapitan od chwili umowy nie widział się z człowiekiem nazywającym się Paskalem i miał nadzieję nie spotkania się z nim więcej.

W każdym razie kapitan Dawidson należał do ludzi o prędkiej decyzji i zanim minął kwadrans czasu, postanowienie pewne, a właściwie zamiar zrodził się w jego pomysłowej głowie.

Na pokładzie.

Brest przedstawia widok bardzo malowniczy i oryginalny. Obszerna przestrzeń, rozciągająca się na parę mil odległości, wchodząca wązkim pasmem do morza, otoczona jest z jednej strony poszarpanymi skałami i roślinnością.

Panuje tam zawsze ruch ożywiony. Setki bark różnokolorowych, skąd dochodzą donośne okrzyki i śpiewy marynarzy, kołysze się w przystani, dalej znowu wydłużonym rzędem stoją poważne okręty i trójmasztowce z rozwiniętymi

żaglami, gotowe w każdej chwili do ruszenia na pełne morze.

Wre tam życie w całej pełni, ruchliwe, we sole, czynne.

Znać, że ludzie tu przewijający się znają całą wagę swojej odpowiedzialności, umieją ocenić dobroczynność promieni słonecznych i sprzyjającego wiatru.

Przystań w Brest nie jest zawsze spokojna. Ma tak samo jak ocean swoje dnie kaprysu i ślepej wściekłości.

Niekiedy niebo, dotąd jasne i pogodne, pokrywa się ciężkimi i czarnymi chmurami, wiatr zaczyna niespodziewanie świszcząć i dać w przerażający sposób od strony morza i słychać jakiś głuchy pomruk, dochodzący od fal wzburzonych, pokrywających się śnieżną pianą.

Na te oznaki dobrze znane i wzbudzające w przystani przerażenie i lęk, wszystko ucieka w popłochu. Lekkie i kruche statki spieszą ukryć się w porcie, szukając schronienia przed grożącym im niebezpieczeństwem. Pozostają tylko na morzu majestatyczne, poważne okręty, zdolne stawić zwyciężko czoło rozjuszonemu bałwanom.

Trójmasztowiec kapitana Dawidson znajdował się w części przystani zbliżonej najwięcej do niewielkiej wioski Lanninon. Kapitan rozmyślnie obrał to miejsce, aby się zabezpieczyć przed nawałami burz, nadchodzących ze strony północno-zachodniej i rzeczywiście w tym punkcie przystani mógł spokojnie oprzeć się gwałtownym naporom wichru.

Odkąd zresztą okręt kapitana Dawidson'a zawitał do portu w Brest, nie był jeszcze uderzony na żadną niemiłą przygodę. Morze było prawie ciągle spokojne, niebo czyste, bez chmur, a wietrzyk dął łagodny i nieszkodliwy.

W przeddzień odpłynięcia kapitan z lekkim żalem żegnał się z kawiarnią matki Angot, do której przyzwyczaił się i gdzie spędzał większą część dnia, nie mając na okręcie żadnego nagłego zajęcia.

Nazajutrz pasażerowie jego mieli stawić się na pokładzie. Była godzina ósma. Łódka, mająca przewieźć Dawidson'a do okrętu, oczekiwała przy wybrzeżu. Kapitan wyszedł z kawiarni paląc olbrzymią fajkę, z którą już objechał był kilka razy świat dookoła. Był w doskonałym humorze i od czasu do czasu pogwizdywał wesoło.

Do tego niezwykłego humoru przyczyniły się w większej mierze liczne szklanki gorącego ponczu, którym się uraczył obficie u gościnnej matki Angot, ale chociaż czuł w głowie lekki zawrót i oszołomienie, nie stracił jeszcze nic na swojej pewności i energii. W każdym razie nikt nie mógłby się domyśleć, że był więcej podniecony niż zazwyczaj.

Przybywszy do przystani, kapitan donośnym głosem zawołał. Natychmiast prawie czterech suchów poruszyło żywo wiosłami i łódź podpłynęła do brzegu.

Zejście było dosyć gwałtowne i ślizkie. Kapitan więc nie spiesząc, postępował ostrożnie.

Ale nagle, zanim jeszcze mógł się zbliżyć do swoich ludzi, człowiek jakiś oderwał się od kamiennej balustrady, przy której stał oparty, podszedł szybko do niego i poufałym ruchem położył mu rękę na ramieniu.

— Kto idzie? — krzyknął głośno kapitan, zaskoczony tem zdarzeniem.

— Cicho — szepnął człowiek, przyciskając silniej jego ramie. — Poco te krzyki?

— Czego chcecie odemnie?

— Pan kapitan mnie nie poznaje?

— Nie. Kto pan jesteście? — zapytał kapitan, chcąc w ciemności rozpoznać twarz człowieka.

Nieznajomy zaśmiał się. Był to Paskal. Teraz dopiero Dawidson poznał, z kim miał do czynienia i odechrnął z ulgą.

— Ach! Ach! To pan? — zawołał — Doskonale. W pierwszej chwili myślałem że to jakiś bandyta. Cóż tam nowego?

— Nic. — odparł Paskal, mówiąc przyciszonym głosem. — Chciałem tylko oznajmić panu, że jesteśmy w każdej chwili gotowi do drogi.

— Dobrze. Odpływam jutro.

— Wiem o tem.

— Bądźcie więc punktualni — zauważył Dawidson — bo gdybyście się mieli spóźnić...

— Niema obawy — odparł Paskal.

Rozejrzał się wokoło podejrzliwie, badawczym spojrzeniem i nachylił się do towarzysza.

— Jutro — rzekł cichym, szybkim głosem — o piątej godzinie z rana przystań będzie jeszcze pusta, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— A więc uważaj pan dobrze. Mała łódka ukaże się od strony wioski Lanninon i szybko podpłynie do pana okrętu. Ta łódka przywiezie mnie i mojego towarzysza. Rozumie pan?

— Hm! Hm! — mruknął Dawidson, zamyślając się. — Wszysko to wydaje mi się dosyć podejrzanem, muszę to panu wyznać.

— Czyżby się pan wahał jeszcze? — zapytał Paskal, tłumiąc w sobie wściekłość, która w nim nagle zawrzała.

Byłby teraz z przyjemnością utopił nóż w piersi kapitana. Być tak blisko celu i po tylu trudach i niebezpieczeństwach zostać zgubionym przez głupie wahanie i nieufność jednego człowieka! Ale jednak od tego człowieka zależało udanie się śmiałego planu i lekkomyślnością nie do darowania byłoby zrażać go jeszcze więcej w tak decydującej chwili. Zapanował więc siłą woli nad wybuchem gniewu i zapytał raz jeszcze, ale już łagodniejszym, prawie proszącym głosem:

— Czyżby się pan wahał, kapitanie? To niemożliwe! Marynarz ma tylko jedno słowo.

— A jednak waham się — przyznał Dawidson.

Paskal wyjął z kieszeni portfel i podał go towarzyszkowi z bijącym sercem.

Był to ostatni argument. Jeżeli nie potrafi przełamać nim oporu kapitana, wszystko na zaw-sze i nieodwołalnie stracone.

— Pan się waha, a ja przyniosłem drugą część umówionej sumy — rzekł, starając się wy-badać wyraz twarzy przeciwnika.

— Ach! Do diabła! — zaklął Dawidson, chwytając szybko portfel do kieszeni.

— Nie przypuszczam — ciągnął dalej Paskal przekonywująco — aby się pan teraz chciał cofnąć. Wypełniłem wszystkie punkta umowy.

— A no, cóż robić, skoro tak było umówione — mruknął niechętnie Dawidson.

Ale kto by był bacznie obserwował go z boku, byłby dostrzegł szatański błysk jego oczu i usta wykrzywione ironicznym uśmiechem.

Paskal jednak nie zauważył tego, uważał rzecz za skończoną i odetchnął z ulgą.

— A więc czekać pan będzie jutro na nas, kapitanie? — zapytał.

— Jutro, tak, będę czekał.

— O godzinie czwartej?

— O godzinie czwartej.

Na tem zakończyła się rozmowa pomiędzy obydwojma współnikami. Paskal oddalił się lekkim krokiem, a Dawidson, przyciskając ręką portfel zawierający pieniądze, zeszedł po schodkach kamiennych aż na sam dół wybrzeża i wsiadł do łodzi, mającej go przewieźć na okręt.

Rozmowa z Paskalem przywróciła mu zupełnie przytomność umysłu. Nie czuł już żadnego obciążenia w mózgu.

Księżyc wyszedł z za chmur i nikłymi promieniami oświeślał przystań.

Dawidson zamyślony rozglądał się w około jak człowiek, który niema czystego sumienia.

Cała ta sprawa wydała mu się dosyć szczególną i podejrzaną.

Jeszcze wczoraj opowiadano mu o więźniu, który zbiegł z portu i pomimowoli nasuwała mu się upornie myśl, że człowiek, z którym zawarł umowę i którego obiecał odstawić na swoim okręcie do New-Yorku, był właśnie może pomocnikiem owego zbiega, uciekającego przed pościgiem władz.

Dawidson obejrzał się raz jeszcze niespokojnie. Jakkądyby lękał się, czy kto myśli jego nie podsłuchal i zauważył nagle, że łódź jakaś płynęła za nim, w tym samym co i on kierunku. Niepokój kapitana zwiększył się jeszcze.

W jakim celu ta łódź, która niewiadomo którejdy wypłynęła na morze, ściagała go?

Dawidson zwrócił się do swoich ludzi i kazał przyspieszać. Łódź płynąca za nim pospieszyła również, słychać było szybkie, miarowe uderzenia wiosel i plusk fali.

Okręt Dawidsona nie znajdował się daleko. Obydwie łodzie dopłynęły do niego prawie równocześnie.

Już teraz kapitan był pewny, że to chodziło o jego osobę i musiał być przygotowanym na wszelkie ewentualności, nie mógł bowiem wiedzieć, w jakich zamiarach płynie do niego człowiek siedzący w łodzi.

Kiedy dobili do okrętu, Dawidson powstał i ruchem ręki poprosił tajemniczego gościa o udanie się na pokład.

(Dokończenie nastąpi).